

OBOZOWA GEHENNA.

Kiedy wojna wybuchła, moja edukacja sięgała niewiele ponad szkołę powszechną, więc moje przeżycia są podobne innym dzieciom. Przerazenie, strach, następnie głód i niepełna świadomość zagrożenia i okrucieństwa, jakie miały przynieść najbliższe miesiące i lata. Podobna świadomość bywała także u dorosłych, którzy masowo uciekali przed Niemcami na wschód, okazało się, że z deszczu pod rynnę.

W mojej pamięci z tego okresu Lwów pozostał pięknym, wesołym miastem o charakterze wielkomięjskim. Waży Hetmańskie z pomnikami, otoczone monumentalną architekturą, szeroka Akademicka i wąskie, gwarne, staromiejskie uliczki z kamieniczkami, rodowodem bujnej przeszłości sięgającym średniowiecza. A nad miastem wznosiły się bogate formy wieże katedr, kościołów i cerkwi. Panoramę miasta najlepiej można było podziwiać z góry wysokiego Zamku. Wyglądało jak zielono-perłowa czasza z rozchylonymi brzegami, bo od śródmieścia w kotlinie, ulice promieniście pięły się w górę.

Miasto jeszcze nie straciło na urodzie, ale piętno okupacji zaczynało kiełkować, już przed nadejściem zimy zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Ludność ogarniała psychoza strachu, niepewność jutra, przygnębienie. Zaczęły się wywózki w nieludzkich warunkach całych rodzin na Syberię.

Ale szczyt dramatu nastąpił 22 czerwca 1941r. kiedy wymieniali się okupanci. "a szczęście kolejny przygotowany transport nie odjechał, Łuscy uciekali w popiochu, ale zdążyli jeszcze podpalić z uwięzionymi siayne "Brygidki". Wypalone mury z czarnymi oczodołami latami wołały o pomstę do nieba.

Niemcy rozpoczęli swoje panowanie od mordów grupy polskich profesorów. Trwał dalszy ciąg czarnej okupacji. Dorastałam i dojrzewałam w niej. Byłam najstarszą z czworga rodzeństwa. Ciężko było żyć.

Na moje szczęście, / bo od dziecka moim ulubionym zajęciem była plastyka / Szkoła Przemysłu Artystycznego była czynna, ale z ograniczonym programem, który uzupełniałam na kompletach. Uczęszczałam na rzeźbę, zarabiałam szyciem lalek do sklepu z zabawkami, wyrobem modnych wtedy drewniaczków i oczywiście działałam w konspiracji, jako łączniczka A k.

Do okrucieństw niemieckich, dochodziły ukraińskie UPA, łuny pożarów sięgały pod Lwów. Ale zbliżał się front i rosły nadzieje na koniec tych koszmarnych lat.

Walki uliczne trwały kilka dni i po raz trzeci miasto stosunkowo mało ucierpiało, decydujące walki były poza Lwowem.

27 lipca 1944r. Lwów był wolny. Szczęśliwi, ujawnieni, chodziliśmy z opaskami biało-czerwonymi, powiewały polskie flagi.

Nadość trwała krótko. Znowu zaczęły się dziać dziwne, niepokojące rzeczy. 31 lipca gen. Filipkowski z towarzyszącymi mu oficerami odlecieli do Żytomierza na rozmowy, oficerów sztabowych Okręgu i komendantów dzielnic zaproszone do NKGB na odprawę i zatrzymano.

Wszyscy oni znaleźli się później w moim obozie. Oddziały AK zostały rozwiązane. Następni znikali w różny sposób, podstępnie, na podstawie donosów. Rozpętała się nagonka na całym wyzwolonym obszarze Polski.

12 września 1944r. około 8-ej rano, do mojego domu przyszedł mężczyzna, w koszuli, bez nakrycia głowy i pod pretekstem jakiejś dekoracji zabrał mnie ze sobą. Wyszłam bez śniadania i pożegnania, miałam niedługo wrócić. Mówił tylko po rosyjsku, więc szliśmy w milczeniu ze śródmieścia na ul. Ładecką. Tam pozostawiono mnie w zupełnie pustym pokoju. Przestałam w nim głodna do późnego wieczora, bo nie było nawet krzesła. W miarę upływu czasu, mój niepokój wzrastał. Czuję, że stało się coś złego.

W nocy zaprowadzono mnie na piętro do pokoju w którym, o dziwo, za biurkiem siedział w mundurze oficera "kontrażwietki" mój "prowadziciel". I zaczęło się przesłuchanie. Nie znałam prawie rosyjskiego, ale domyślałam się o co chodzi, udawałam, że nic nie rozumiem, by zyskać na czasie. On wściekły walił pięścią w krzyczał "podwał pajdziosz". Nie wiedziałam, co to znaczy, myślałam, że to jakieś tortury z wałem. W końcu "bajec" z karabinem sprowadził mnie do piwnicznej czarnej otchłani, bo w między czasie zgasło światło.

Były tam już dwie kobiety. Padło w ciemności kilka słów, siadłam na śłomie przy nich. Wkrótce zapaliło się światło, były dużo starsze. Nocą zabierano je na przesłuchanie.

Na drugi dzień w południe prowadzono mnie po schodach na górę, w dół schodził z płaszczem na ręce mój stary profesor "Lolo". Spojrzeliśmy na siebie wymownie. Po latach dowiedziałam się, że po kilku dniach zwolniono go. On przekazał wiadomość o miejscu mojego pobytu, ale, kiedy moja matka tam poszła, odepchnięto ją brutalnie, wrzeszcząc, że tu nikogo nie ma.

Przesłuchiwał mnie już inny, po polsku i trochę łagodniej. Nie wiele miałam do powiedzenia. Przez okno widziałam po raz ostatni przymglone w jesiennym słońcu wieże Śródmieścia na tle "ysockiego Zamku". Piwnice w tym budynku były bez okienek, /budowane jako schrony przeciwlotnicze/ z wieczną żarówką. Przybywało nas. Ciasnota i zaduch. Łaskawie dopuszczano trochę powietrza przez korytarz. Obok przebywali mężczyźni.

Niebo zobaczyłam dopiero 18 lutego 1945r. kiedy wyprowadzono nas na ogrodzone podwórze, /doszły jeszcze osoby z Łuckiego/.

Było nas około czterdzieścioro, w tym 8 kobiet, /pozostały jeszcze w piwnicy/. Samochodem-więźniarką przewieziono nas na dworzec kolejowy. Był mroźny, zimowy zmierzch z ognistą kulą zachodzącego słońca. Załadowano nas na bocznym torze do wagonu "stołpińskiego" o zakratowanych przedziałach, z piętrowymi pryzkami po obu stronach, z małym świetlikiem w górze. Mieliśmy ruszyć o świcie.

Na samą myśl, że nikt nie dowie się o naszym nieznanym losie, postanowiłam przez robotnika kolejowego przekazać wiadomość do domu, a także adresy innych chętnych osób. Niewiele ryzykowałam. Okazało się, że był to dobry człowiek.

Nastał już ciemny wieczór, kiedy pilnujący "bajec" kazał mi wyjść z zakratowanego przedziału na korytarz. Bałam się, nie znając jego zamiarów. Doprowadził mnie do końca korytarza, a tam stała moja młodsza siostra, która po otrzymaniu wiadomości, natychmiast przybiegła, dwie inne udały się pod wskazane adresy.

Dał nam kilka minut na rozmowę i cofnął się, nie podsłuchując. Nie wiedzieliśmy dokąd nas wywozą i jaki los nas czeka. Popłakując, starałyśmy się jaknajwięcej powiedzieć. Dostałam koc, chustkę, rękawiczki i trochę pieniędzy. Kano miałam otrzymać paczkę z żywnością, buty i mamy palto, bo trudno było w ciągu kilku minut coś przygotować, a zbliżała się już godzina policyjna.

O świcie na torach był tłum ludzi, ale nikomu już nie pozwolono na widzenie. Bezsilne i zrozpaczone patrzyliśmy na zmianę, przez okienko pod sufitem. Widziałam wszystkie trzy siostry, /mama była chora, ojciec poza lwowem/ znajomą jesionkę na ręce eskortującej Rosjanki, ale nie otrzymałam jej nigdy, więc wyjeżdżałam w jesiennej odzieży i drewniaczkach. Otrzymałam tylko węzełek ze skromną żywnością i butelkę jeszcze ciepłej kawy z mlekiem.

Za ruszającym pociągami biegli z płaczem nasi najbliżsi. W Kijowie rozdzielono naszą grupę, 14 osób, w tym 3 kobiety odesłano do Charkowa. Resztę po dwóch tygodniach przywieziono do więzienia w Riazaniu.

Jedna z kobiet przypadkowo podsłuchiwała rozmowę konwojentów, że wiozą nas do obozu, dlatego nie pozwoliliśmy się zamknąć w celi o zielono-czarnych od pleśni ścianach z zardzewiałym wyrkiem.

Uparcie żądając wyjaśnienia, czekałyśmy na cuchnącym korytarzu. Mężczyźni nieswiadomi zakosztowali tych cel. Na drugi dzień popędzono nas kilka kilometrów po zamarzniętych wybojach do obozu w Dolnym Riazaniu. Od jesieni przabywała w nim już pierwsza grupa lwowska i inne ugrupowania AK z Kresów Wschodnich./około 600 osób/

Byłam bardzo chora, z wysoką gorączką. Po przekroczeniu bramy obozu, trzeba było przejść obowiązkowo przez t.zw. "banię", w obmarzłym pomieszczeniu drewniany cebrzyk z parującą wodą.

Tam straciłam przytomność i zbudziłam się w obozowym szpitalu. Na drugi dzień, a było to 4 marca, wybuchła spontanicznie głódówka. Trwała tydzień i niewiele udało się wywalczyć z postulatów przekazanych władzom obozowym.

W kwietniu popędzono nas po rozmokłym bezdrożu do innego, większego obozu - Diagilewa. Dojechał do nas duży transport/ok.1500/ z Ostaszkowa. Byliśmy internowani, ale bez praw im przysługującym.

Głodowe posiłki, prymitywne, zapluskwione baraki, ciasno ustawione piętrowe prycze, żadnego kontaktu ze światem i bliskimi.

Ślad po nas zaginął, nikt nie wiedział, co się z nami stało. W maju 1945r. dotarła do nas radosna wiadomość o zakończeniu wojny, z nią zaświtała nadzieja powrotu, niestety płonna.

Najgorsza była ta beznadziejność i niepewność losu. Siedząc z wyrokiem, można przynajmniej odliczać czas.

W styczniu 1946 pierwsza grupa /800os./ wyjechała do Polski, druga była w przygotowaniu, nie wiadomo, jakie przyczyny wpłynęły na wstrzymanie dalszych transportów. Natomiast szybko zaczęto uzupełniać stan obozu, który wynosił około 2000 internowanych, w tym 40 kobiet. Skocentrowano tu większość najwyższych oficerów Armii Krajowej, sztabowców, członków delegatur /5 gen./ przetrzymywanych przede wszystkim w Charkowie, także w Kijowie, Stalinogorsku..Dojechał ostatni transport ze Lwowa z więzienia na Kadeckiej. W związku z tym obóz 178, jako "specłager" był trochę uprzywilejowany w stosunku do innych, ale bez prawa korespondencji. Oficerowie byli zwolnieni od pracy fizycznej, za bramę do różnych robót wychodziły brygady z podoficerów i szeregowych. Część pracowała na terenie obozu.

W obronie przed nostalgią, załamaniem psychicznym, różnie wypełniano wolny czas. Kobiety /i nie tylko/ cerowały, przesywały zniszczoną odzież, dziergały na drutach ze szprych.

W rękach uzdolnionych plastycznie powstawały na skrawkach papieru portreciki, w drzewie i metalu różne piękne przedmioty, jak: puzderka, pierścienie, ryngrafy, szachy, ołtarzyki../było 5 kapelanów/. Surowce zdobywano z porzuconych na bocznicach torów, wyszabrowanych i niszczących urządzeń fabrycznych.

Ja także prócz szycia i dziergania parałam się portretowaniem, lub lepiłam z gliny figurki, które po wyschnięciu pękały.

W pewnym okresie zezwolono nam łaskawie na namiastkę życia kulturalnego. Był kurs techniczno-leśny, nauczycielski i wyższy kurs muzyczny, prowadzony przez specjalistów, ze świadectwami./ wykłady z pamięci/.

Powstał chór i mała orkiestra, /instrumenty zakupiono za pieniądze z depozytu/ także teatrzyk "Nasza Buda". Grałam w nim kilka ról. Był męski i żeński kwartet. Śpiewałam kontraltam, /nazywano mnie basikiem/ i śmiesznie się złożyło, bo głosy pokrywały się ze wzrostem.

Ale niedługo trwało to nasze życie kulturalne. "Cenzura" zakwestionowała program i zamknięto "Naszą Budę".

Były też ucieczki z dobrze strzeżonego obozu, dwie udane, inne kończyły się po złapaniu surowymi karami, a po bohater-
skim dotarciu do celu, ponownym aresztowaniem.